Ner 2. 1860. 8 Października.

NIEWIASTA.

ZAUFANIE.

Zapewnie to każda matka czuje i pojmuje, że niepodobna jest zadosyć uczynić obowiązkowi swemu w przynależnem wychowaniu córki, jeżeli się niepozyska jej zaufania.

Każda przeto matka, usilnie starać się powinna, aby zaufanie córki jak najzupełniej osiągnąć.

Serce matki najlepiej ją nauczy, jak sobie w tym względzie postępować powinna.

Zaufanie nie da się nakazać, ani zniewolić; ono jest skutkiem roztropnego prowadzenia, pełnego powagi osłodzonej miłością.

Córka powinna to uczuć, że matka najserdeczniejszym jest jej przyjacielem.

Córka powinna wiedzieć, że opieka matki tak jej jest potrzebną, jak winnej latorośli oparcie o ścianę lub drzewo.

Dobra córka nie może się obejść bez wiary i zaufania w roztropność, doświadczenie i życzliwość matki.

Religia i sumienie nakazują, aby córka żadnej tajemnicy nie miała przed matką z swych uczuć i z swego postępowania.

Matka jest spowiednikiem swej córki w porządku natury, jak kapłan w porządku łaską Boga postanowionym.

Jeżeli córka powiedziała sobie w duszy swojej, że nie widzi przyczyny, dla czegoby matce swej ufać i jej zwierzać się miała, stała się nieszczęśliwą, jakby biedna opuszczona sierota.

Ktoż jej będzie powiernikiem i przyjacielem! Może służąca, podchlebiająca jej woli? Ta łatwo stanie się dla niej istnem narzędziem szatana.

Może rówienniczka, równie niedołężna jak ona? Jestto, jakby ślepy ślepego prowadził. Szczęście jeszcze dla niej, jeżeli zawiść prędko je porożni. Czem dłużej trwa to zwierzanie, tem większem staje się niebezpieczeństwo postradania swej sławy.

Czyli matka dla tego nie zasługuje na zaufanie swej córki, że zapomniała po francuzku mówić, że nie grywa na fortepianie, że nie tańczy kontradansa?

Niemyśl nigdy, iż o losie twoim lepiej stanowić zdołasz, jak twa matka. Tak myślała Ewa, iż lepiej swą przyszłość pojmuje, jak Bóg, dawca jej życia. I sprzeniewierzyła się Bogu i ściągnęła nieszczęście na całe ludzkie plemię.

Jeżli ci kto szepnie: „Mama niech o tem niewie," zdrajca jest i oszust, choćby najsłodszemi łudził cię słówkami. Natychmiast westchnij w duszy swej do Boga, i rzeknij: „Niewodź nas na pokuszenie."

X. W. Serwatowski.

ANNA JAGIELLONKA

KRÓLOWA POLSKA.

(Z wiadomościami o całej familii Zygmunta Starego.)

(Dalszy ciąg.)

Izabella węgierska, swatka margrabiego i książęcia z królewnemi, jawnie narzeka na obojętność matki i brata w tak ważnej sprawie: zarzuca nawet wręcz złą wolę. „Najmiłościwszy królu, mówi do Zygmunta Augusta. Nic nie wątpi J. K. M. iż o dobrem królewien Ichmości sióstr swoich raczysz się W. K. Mość życzliwie starać.... abowiem, jako godniejsze, zacniejsze, stanu i rodzajowi K. Mość królewskiemu przystojniejsze małżonki, Ichmościom jednać, a o nie się starać będziesz raczył; tem większe dzięki i posługę od Ichmość, od ludzi wielkie bogomodlstwo, a od Pana Boga zapłatę W. K. Mość wziąść będziesz raczył." Napomina następnie króla, aby pomyślał o wyprawie, stręczy kupca, który potrzebne rzeczy dostawi... „gdyż królewne niemają, w kimby nadzieję swą pokładały, jedno w W. K. Mości." Jeżeli brat na słuszną zasłużył naganę, brat znękany i rozerwany podówczas, o ileż winniejszą była matka, posiadająca ogromne majątki, pomiędzy innemi, oprawę bogatą na księstwie mazowieckiem!

Smutne musiało być życie rodziny królewskiéj w Krakowie 1549 i 1550 roku. Królowa Bona nie widywała się z synem i synową, królewny musiały iść za przykładem matki i wstrzymać się od każdego znaku przychylności dla bratowej. Zygmunt August zamknął się w komnatach żony, jako w jedynym świecie swego szczęścia, otoczył ją pieszczotą i wygodą, pracował dla urzeczywistnienia jedynego snu jej młodego życia, koronacyi. Młoda Barbara była ambitną, bolały ją impertynencye panów, którzy przechodzili koło niej nieoddając jej cześci powinnej, cierpiała nad uporem sejmu i publicznego głosu, który ją kochanką królewską nazywał. „Raz mieć koronę na głowie i umrzeć" mówiła rozpieszczona Barbara, najszczęśliwsza z niewiast, gdyby prócz miłości mężowskiej nie miała innego żądania. I oto zwyciężyła stateczność zakochanego króla. Silną dłonią ująwszy rządy Zygmunt August, pokazał, że łaska jego jest potrzebniejszą każdemu niż łaska matki; że gniewu jego lękać się należy. Doświadczyła sama królowa Bona, że syn niechętny wiele jej może stać na przeszkodzie w powiększaniu majątku. Powoli uchylały się głowy senatorów przed Barbarą, Arcybiskup Dzierzgowski, Łukasz Górka, Tęczyński, co wolał Solimana niż Barbarę, pojawili się na dworze z przeprosinami i honorami. Sam wojewoda krakowski, Piotr Kmita skłonił się przed wybraną młodego króla, spieszył się z żoną, aby jej cześć oddać w Niepołomicach i zaprosić do siebie na Wiśnicz, gdzie ją z królewskim podejmował przepychem. Dzień koronacyi naznaczono na św. Katarzynę 1550 r. Barbara uśmiechała się ku temu szczęściu, bawiła marzeniem uroczystości, która miała zaspokoić jej obrażoną dumę. Bona opuszczona od wszystkich, zaczęła parlamentować z synem, podała sama pierwsza dłoń macierzyńską synowej i pozwoliła się zbliżyć do niej tęskniącym królewnom.

Ale w chwili tej napozór szczęśliwej, królowa Bona czytała w twarzy Barbary ślady śmiertelnej choroby, która miała przedwcześnie podciąć kwiat ten młodociany. Królowa Bona wiedziała, że Barbara niedługo pożyje, że tryumf Barbary a jej upokorzenie niedługo potrwa.

Niechcemy obwiniać Bony o otrucie Barbary. To pe-

wna, że miała stosunki z babami, czarownicami, które ją leczyły. To pewna, że jedna z nich, którą Zygmunt August wielkim ożogiem nazywa, a którą uwięzić kazał, dziwne rzeczy śpiewała" że było się czemu podziwować; to pewna, że Zygmunt August takie dobre miał o tema wyobrażenie, iż zauważał w liście do Radziwiłła: „Owa trzeba będzie ku wieczerzy poglądać." Najstraszniejszy nareszcie cień rzuca na Bonę, spotkanie się ze Zygmuntem Augustem, opisane w liście z Radomia r. 1552.

Śmierć królowej Barbary była stanowczym wypadkiem dla całego życia Zygmunta. Przez tę śmierć zmarniał król pełen sił ducha, pełen szlachetnych uczuć serca. Ogromna też to była miłość, którą żywił dla żony. Nic prostszego a zarazem rzewniejszego jak doniesienia jego o chorobie Barbary. Z jaką miłością opowiada każdy szczegół, chwyta się każdej nadziei, uśmiecha do każdego choćby najlżejszego polepszenia! Ale nie było nadziei! Królowa po koronacyi, po przelotnych chwilach wielkości gasła jak świeca, gasła okropną chorobą. Odstąpili ją wszyscy, król nieodstąpił. A jednak boleść tego króla była chrześciańską, prawdziwie chrześciańską boleścią. „Albowiem iż *tantum dolorem hausimus* (takim bólem byliśmy napełnieni) przódy, nasza to miłość małżeńska i wiele innych przyczyn *qui sine magno dolore commemorari non possunt* (których bez wielkiego cierpienia wspomnieć nie można) nas ku temu przywiodły, wszakoż iż to już tak znać wola Boża była, wielka to jeno o Jego świętej miłości cierpieć, a tamując jakożkolwiek ten ból, *qui ingens est* (który jest ogromny) p. Boga prosić, aby Imci duszy, miłościw być raczył."— Boleść Zygmunta była cichą, głęboką, stateczną boleścią, która warzy całe życie i wszystko raz na zawsze kirem przyobleka. Od tego czasu ugruntowała się w jego charakterze dziwna niewierzliwość, niechęć i złe rozumienie o ludziach, upór nareszcie. Ostygł zapał młody a żelazne poczucie obowiązku podtrzymywało samo jego życie. Jedynem żywszem uczuciem była przyjaźń dla brata zmarłej, Mikołaja Radziwiłła czarnego.

Królowa Bona czuła co dnia, że jej stanowisko w Polsce jest fałszywem. Chodziły głuche wieści o śmierci Barbary: nikt nie śmiał otwartym być Bony stronnikiem. Powstała więc w niej myśl wyjechania z Polski, którą królowi na wspomnianym zjeździe w Radomiu otwarła.

Było to pierwsze zapewne spotkanie się z królem po śmierci Barbary. Zygmunt August był spokojny, zimny, obojętny dla matki, chował do niej głęboki żal w sercu, którego wywnętrzyć nie uważał za rzecz stósowną. — Bona mimo żelaznego czoła była zmieszaną, czuła potrzebę zagaić rozmowę, wydać się ofiarą i prześladowaną, oskarżać króla o to lub owo, aby ominąć główny szkopuł, aby nie dać przyjść synowi do słowa. Jakoż udała niemałą troskliwość o los przyszły królewien, wyrzucając Zygmuntowi opieszałość. Zygmunt wyliczył jej spokojnie wszystkie okoliczności, z których korzystać zaniedbała, przypomniał listy w sprawach sióstr, które bez skutku na nią zostawały. Skarżyła się na prześladowanie ze strony możnych, na najazd wioski jakiejś przez dawnego przyjaciela Kmitę. Skarżyła się na Ludwika Montio, Włocha doktora, że ją krzywdzi i kradnie. Żądała nareszcie, aby król pozwolił jej dla zdrowia do Włoch jechać, a ona wszystek majątek w kraju zostawi. Niestać było atoli Bonę na jedno słowo kondolencyi dla strapionego syna, bo czuła, że dobrze przyjętem nie będzie.

Przez dworzanina tylko posłała radę, aby się w familii cesarskiej żenił, gdyż o zamiarach takich słyszała. Na to odpowiedział z oburzeniem Zygmunt: że po tak wielkiej boleści żenić się nie myśli, że miał dwie żony, które przedwcześnie zeszły z tego świata, nie z jego przyczyny. Że są tacy, którzy temu przyczynę dali. Że się zawsze obawia, aby i trzeciej małżonce na ten koniec nieprzyszło. To wszystko zniosła Bona milcząc, jak winowajczyni. Niemogąc od syna pozwolenia wyjazdu wyjednać, odesłana do sejmu, użyła wszelkich środków, aby się usunąć z kraju, który jej nienawidził. Udało jej się to atoli dopiero 1556 roku.

Tymczasem wróciła do Polski Izabella, królowa węgierska z synem Januszem. Powrót jej, acz bolesny, musiał być prawdziwem świętem dla królewien, które patrzały na nią, jako na najprzychylniejszą opiekunkę swoją. Izabella była kobietą tęgiego charakteru i niezłomnej woli. Za radą biskupa Waradzyńskiego, Martinuzzego (Jerzego Kinstrada) poddała się opiece tureckiej, skoro od ojca pomocy wyjednać nie mogła, a sułtan Soliman w obozie pod Budą ogłosił pacholę królewskie następcą ojca w Węgrzech i Siedmiogrodzie. Atoli wnet Martinuzzi zdradził sprawę królowej i za kardynalski kapelusz Ferdynandowi posiadanie Siedmiogrodu obiecał. Ferdynand chwycił się zdrajczego środka. Castaldo, wódz cesarski zajął Siedmiogród. Izabella przymuszoną była zrzec się tronu Węgier i województwa, oddać insygnia królewskie i przestać na księstwach Opola i Raciborza. Syn jej miał dostać jednę z córek Ferdynanda. Wyjeżdżając z Węgier do Polski strapiona matka wyryła na granicznem drzewie słowa: *Sic fata volunt* (Tak los rozrządził). Martinuzzi zdradził następnie samego cesarza, pragnąc za pomocą Turków dla siebie Siedmiogród opanować. Wtedy Ferdynand nie wachał się przesłać Castaldowi tajemną instrukcyą — i kardynał biskup Waradzyński, podobnie jak Wallenstein potem, padł pod ciosami najętych morderców.

Bielski i Orzechowski przechowali nam charakterystyczny rys o życiu Izabelli i jej syna. Przy oddawaniu insygniów królewskich Ferdynandowi zabrakło krzyżyka, z wierzchu korony. Znalazł go w niejaki czas potem dwunastoletni królewicz. Widząc matkę mocno zmartwioną rzekł: Skoro mamy krzyżyk to i korona do niego powróci. Jakoż nadzieja ta nigdy królowej i syna nie opuszczała w dniach wygnania.

W rok potem odbyły się świetne zaślubiny Zygmunta Augusta z Katarzyną Austryaczką, córką Ferdynanda. Był to sam Mikołaj Radziwiłł, brat Barbary, który króla, acz niechętnego wyswatał. Niesłychany przepych towarzyszył obrzędom, cała familia królewska, prócz Jadwigi brandeburskiej była przytomną. Turnieje, igrzyska, bogate uczty, poczty wielkich panów od złota kapiące, uświetniały akt uroczysty. Ale nie było przeznaczenia, aby to małżeństwo dobry skutek odniosło. Zygmunt August zwlekał go, póki mógł, składając się chorobą. Niezadługo po ślubie począł unikać żony, do której go miłość nie ciągła. W kilka lat począł się starać o rozwód, czemu zaledwie legat papiezki Comendoni przeszkodził. Królowa umarła w Lincu, daleko od męża.

Roku 1556 wyszła za mąż królewna Zofia, najstarsza z Jagielonek po Izabelli. Liczyła wtenczas lat trzydzieści i pięć. Pojął ją Henryk ks. brunszwicki. Wesele odprawiono w Wilnie; najznakomitsi panowie odprowadzili niemłodą oblubienicę. Królewna Zofia była mocno słabowitą. Annę i Katarzynę umyślił brat do Wilna na mieszkanie sprowadzić. „Ale nie chcemy, aby pospołu z królową jejmością mieszkać miały, ale aby różno mieszkały i różno kuchnią miały." Te słowa wyjęte z listu do Radziwiłła świadczą, jak się królowa matka z córkami obchodzić musiała.

Jakoż wyjazd królowy, który tegoż nastąpił roku, jest zapieczętowaniem szkaradnej w polskich dziejach karyery chytrej i bezsumiennej Włoszki. Chcąc się od jednego razu od wszelkich usunąć obowiązków i po za oczy

narodu rozpustne życie z faworytem swoim Papagodą prowadzić, umyśliła ona wywieść z Polski ogromne swoje bogactwa, oszukać dzieci o sukcesyą barską; zatrzymać, jeżliby można, dobra swoje polskie.

Lat kilka toczyły się przez kasztelana barskiego konferencye z cesarzem względem bogatego Baru. Nieprzyszły atoli do skutku. W r. 1556 wniesiono do senatu projekt królowej wyjechania do wód padewskich. Wszyscy senatorowie się sprzeciwili. Postanowiono prosić królowę węgierską, aby matce podróż z głowy wybiła. Niepodjęła się tego Izabella. Natenczas wysłano biskupa krakowskiego A. Zebrzydowskiego z prośbą i przedstawieniem. Królowa się uniosła tak dalece, że biskupowi kupienie biskupstwa wyrzuciła. „Kupiłem, miłościwa pani odpowiedział biskup, boś go w. k. m. sprzedawała.“ Ujrzawszy, iż prośby daremne, chwycono się środków ostrych: ogłoszono infamią lub karę śmierci na każdego, coby królowej towarzyszył. Bona jęła wyrzekać na ucisk doznany i przez Izabellę syna molestować. Zygmunt August zmiękł i wyjednał podróż. Jeden kanclerz Przerębski do ostatka pozwoleniu odmawiał pieczęci. Wiedziano dobrze, że odjazd Bony jest obdarciem dzieci z słusznie im się należącego, bo zebranego w kraju, ogromnego matki majątku.

Na kilka tygodni przed odjazdem królowy, szły wozy ładowne bogactwy, umyślnie na tę podróż ciosaną drogą. Między eskortującymi byli tacy, co czekali z upragnieniem na ich zatrzymanie, aby kraj nie tracił swoich skarbów. Ale nikt nie zatrzymał. Bona w licznym pocztcie najznakomitszych panów wybierała się do wyjazdu z Warszawy. W mieszkaniu jej nawet bogate obicia nie zostały na ścianach. Po mszy rannej zaprowadziła licznych senatorów przed sklep, w którym zwykle kosztowności chowała a pokazując pieczęć rzekła: Tu w schowaniu są rzeczy i przywileje moje. Biorę was za świadków, gdyż ja o wiele rzeczy bywam obwinianą. Boratyński, ów śmiały przeciwnik małżeństwa z Barbarą, odpowiedział z ironią: My przy pieczętowaniu nie byli! Ale Bona nie kazała otworzyć sklepu, w którym nic, prócz czterech gołych ścian nie było.

Po mszy szła do pałacu: tam królewny zastawszy, „pożegnała dwie panienki, gorzkiemi łzami się oblewające, niedawszy im tylko po jednym pierścieniu, łzy nie wypuściwszy sama stara z oczu.“ Ale na samem odjezdnem gorzkie słowa prawdy od tegoż Piotra Boratyńskiego usłyszyć musiała. Zarzucił jej śmiało, iż córkom nic nie zostawiła, że je ciągle zaniedbywała, ze sprzedawała urzędy i zaszczyty i więcej niż dwa miliony z Polski wywozi. „Świeborowski marszałek, odrzekła Bona, zaświadczy, iż nie mam przy sobie jak 50,000.“ Tak, odpowiedział Boratyński, bo w. k. m. oddawna już pieniądze z Polski wysełasz.

Niedługo używała Bona bogactw swoich na obcej ziemi. Następnego już roku 1557 umarła jak wieść niesie, w skutek otrucia przez Papagodę, faworyta swego. Papagoda podrobił fałszywy testament, mocą którego król i siostry zostały wprawdzie spadkobiercami ogromnych jej fortun, ale przy tak wielkich legatach, że nic prawie nie pozostawało. Sprawa sukcesyi i starania o Bar wlokły się długo; głównie zajmowała się niemi Infantka Anna. Anna także postawiła niegodnej matce pomnik w Barze szanując pamięć tej, która jej życie dała.

Biedna Infantka miała niezadługo samą jedną z licznej pozostać rodziny. Królowa Izabella powróciła 1557 r. do Siedmiogrodu, zkąd jenerał cesarski Castaldo przez Turków wygnanym został. Raz jeszcze użyła Izabella rozkoszy panowania i syna swego widziała w koronie. W dwa lata potem umarła. Zygmunt Zapolya panował w Siedmiogrodzie z tytułem króla Węgier do r. 1570, w którym, jako mąż w kwiecie wieku, wielkich zdolności i tęgości osobistej, przedwcześnie zgasnął.

W r. 1562 opóściła Annę najukochańsza siostra i towarzyszka Katarzyna Jagiellonka, idąc za Jana księcia finlandzkiego, brata Eryka szwedzkiego. Małżeństwo to zawartem zostało w śród mocno naprężonych z Szwecyą stosunków. Eryk wziął je za zdradę z strony brata, za łączenie się z wrogami. Wtrącono do więzienia oboje. Wprawdzie ofiarował Eryk wolność Katarzynie, ale ta męża opuścić nie chciała. W więzieniu urodził się Zygmunt III i Anna. Dopiero po śmierci Eryka królewska para wprost z więzienia weszła na tron północny.

Anna królewna liczyła już lat trzydzieści siedm. Zygmunt August kłopotał się niemało o los siostry, widząc że na prawdę starą panną została. Z wdzięcznością przyjmował zatem starania Radziwiłła, który temu chciał przeszkodzić. Jakoż w roku 1562 starał się o królewnę Magnus, królewicz duński, cenny tembardziej, że sojusz z Danią był przeciw Szwecyi potrzebnym. W dwa lata póżniej odezwał się Ryszard Falcgrabia reński, skrzętnie się o posag dopytując. Królewna nie ufała sobie i nieodważyła się „a ja“, mówi Zygmunt August „przeciwko woli przymuszać jej niechcę, jakom młodszej nie przymuszał“.

Pozostała więc przy bracie przesiadując to w Wilnie, to w Warszawie, Krakowie lub Knyszynie. Zygmunt August, wdowiec po trzech małżonkach, żałobny po niezapomnianej Barbarze, ponurzał i smutniał co dnia, co dnia czuł bardziej próżnię życia, bez miłości i bez nadziei. Czas w którym żył, czas burzy religijnej, czas podżegający wszystkie namiętności, niemógł jak przyczyniać się do wewnętrznego niepokoju Zygmunta: wielkie indywidualne boleści nie znajdowały pociechy w naiwnej średniowiecznej wierze, dogmat kościelny nie umiał ich wyrozumieć, uspokoić, bo dawna droga do nieba była straconą. Zygmunt August walczy z kościołem w postaci Comendoniego o rozwód z niemiłą sobie żoną. Zygmunt August przychyla się do idei Modrzewskiego, i Uchańskiego, idei stworzenia narodowego kościoła. Że scyssya nie przyszła do skutku samej opatrzności podziękować należy. Z drugiej strony widzimy w królu dziwne zamiłowanie w cudotworczych naukach swego czasu, wiarę w gusła i czary, w magią i kabalistykę. Przez całe zycie wdaje się król z babami, lekarzami, astrologami i magami. Twardowski wywołuje przed niego cień Barbary ukochanej, inny czarodziej wieści mu, że umrze w 72 roku. Rozbity bólem umysł królewski, serce jego pękające od tęsknoty za szczęściem, które raz mu jeno błysło w życiu, aby zagasnąć na zawsze: chwytają się bodaj cieniów jakichś mglistych, bodaj magicznych jakichś świateł aby urozmaicić próżnię i głuszę życia. Tą próżnią tłumaczy się poniekąd niemoralne życie królewskie lat ostatnich. Tradycya mówi, że uległ zupełnie fatalnej miłości ku Barbarze Giżance, podobnej z twarzy do Radziwiłównej. Jest to rys głębokiej tragiczności. Niemógł nieszczęśliwy król wytrzymać w tęsknocie i żałobie za duchem Barbary swojej; chwycił się strasznej postaci Giżanki, która mu przypominała zmarłą, postacią i twarzą... Cała boleść jego przelała się w tę namiętność, ale ta namiętność musiała go zniszczyć na zawsze. Życie z Giżanką było ciągłem bezczeszczeniem pamięci Barbary, było miłością do jej ciała po śmierci... To też ostatnie chwile Zygmunta są prawdziwie okropne. „Moje sokoły, moje sokoły!“ Mówił o kobietach, czemu wy mnie tak uwiązały? Około umierającego Jagielona widzimy tłum awanturników, czarodziejek, bab lekarek, żydów, widzimy nareszcie dwóch podkomorzych Mniszków, ludzi podłych, którzy obdzierali ziębniejące ciało królewskie. Gdy król umarł,

niebyłoby go czem przykryć, gdyby Stanisław Fogelfeder, poczciwy doktór królewski, płaszcza swojego nie pożyczył.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Marzenie pana Bonawentury

opisane przez niego samego.

(Ciąg dalszy.)

Walerka i Wilhelm byli dziećmi mego syna Wojciecha, który pomimo mych rad i przestróg, ożenił się z wielce grymaśną i przewrotną babą, hrabiną W. Biedaczysko wlazł pod pantofel że mu nosa widać nie było. Ulegając jej wiecznym terkotaniom wyrobił dla siebie i swoich dzieci tytuł hrabiowski, którego ja, jako prawy szlachcic znieść nie mogłem. Odsyłałem mu regularnie wszystkie listy, gdzie adresował do mnie: *A Monsieur le Comte*. Pewnego razu, gdy mi jeszcze za młodych czasów dowcip dopisywał i wena poetyczna w kałamarzu siedziała, dopisałem na kopercie:

Szlachcic ojciec, list odsyła hrabiemu dziecięciu,
Wart za to pięć swych pałek, syn godzien dziewięciu.

— Sługa kochanego dziadunia, zawołał wchodzący Wilhelm podając mi rękę. A smarkacz! nie powinien jej to był pocałować! Więc ja także konwencyonalnie.

— Sługa szanownego lorda, czy dżokeja, bo rozróżnić trudno. Cóż waść z Anglii przywiózł?

— Konie, dziaduniu, naturalnie konie. A jakie konie! Na przyszłych wyścigach, ręczę za to, odniosę pierwszą palmę zwycięztwa. *The Queen of Inde,* siedemnastej miary, głowa jak makówka, nóżki jak u sarny...

— Jak u ciebie, kochany lordzie.

— *Queen* mówię, po sławnym...

— Pst! zawołałem. Daj pokój z twemi rodowodami. Patrz gdzie jesteś. No i cóż myślisz z temi końmi robić? Na cóż się przydadzą?

— Co robić, dziwne pytanie! Wygrywać na wyścigach, jeździć na *steeple chease*, poprawiać rasę krajową, spekulować...

— Idź sobie waszeć z taką spekulacyą. Widziałem wasze dromedary. Brzydkie, niekształtne, słabe, do niczego. Pieniądze stracisz i kark skręcisz. Lepiej byłbyś przywiózł żelaza na podkowy wiejskim szkapom, albo jaką machinę gospodarczą.

— Otóż niepostępowość na którą umieramy. Chów koni może nam przynieść wielkie korzyści, ale chów koni modnych, rosłych, wpadających w oko, pokupnych.

— Dla głupców, których Boże daj jak najmniej. — Jakże się tam waćpanu na wsi powodzi, panie Eugieniuszu, panu, co nie jeździsz za granicę.

— Djablo źle, dziadku. Sprzedaję wieś prusakowi i zakładam fabrykę.

— Sprzedajesz Wietrzyce, wieś matki, wieś rodzinną i komu: prusakowi, obieży-światowi, spekulantowi. No, jeśli sprzedasz, to ja o waćpanu słyszeć nie chcę.

— Ależ cóż robić, kochany dziadku. Gospodarowałem postępowo, sprowadziłem niemców, anglików, szwajcara do krów, francuza do maszyn, postawiłem młyn, sieczkarnię, ogromne stajnie, drenowałem, kupowałem guano i nic nie pomogło. Zbóje chamy robić nie chciały, zboże rosło na pniu, grzało się w stodołach, od roku do roku coraz gorzej. Głupie szlachciury z sąsiedztwa śmieją się ze mnie, otóż im pokażę, że i ja umiem dobry zrobić interes. Prusak łakomi się na postępowe gospodarstwo i obiecuje zapłacić z zyskiem.

— Aha! jestem w domu! masz chamów, których nazywasz zbójami i szlachtę sąsiadów, którzy są u ciebie głupcami. Chamy i szlachta pozostaną, a ty ze wsi wylecisz. A wieś dobra, ziemia błogosławiona. Ale waćpan chciałeś, ufny w swoją naukę, zbierać krocie od razu i powiedziałeś szlachcie: Głupia jesteś, bo jesteś biedna. A chłopom powiedziałeś: Chamy jesteście, niepotrzebuję was, bo ja mam pieniądzę. Otóż sposób, jakim wylatujesz ze wsi z twoim niemieckim rozumem.

— Co do chłopów, powiedziałem im po prostu: Wy sobie, ja sobie. Chcecie mi robić, zapłacę; nie chcecie, wezmę innych, sprowadzę górali, szlązaków, niemców. Będziecie mnie kraść, karać będę srogo bo wara od mego. Na odrobek nic nie daję, paszy niepozwalam. — Prosty stosunek. Z sąsiadami się nie wdaję, bo jakby mi zaczęli radzić, straciłbym głowę. Przytem tyle jest tych składek obywatelskich, że wynoszą *alterum tantum* podatku.

— Otóż cię znam! No mój kochany, nauczyłeś się może chemii w Niemczech, ale organicznej chemii krajowej na włos nie rozumiesz. Ciekawym, czy twój brat prawnik, niezakrawa na coś podobnego. Powiedzże mi waszeć panie Wacławie poco waść chodzisz na prawo?

— Ja dziadku, myślę się poświęcić dyplomacyi.

— Dyplomacyi! Otóż masz. I pocóż waćpan myślisz iść na dyplomacyą?

— Zdaje mi się, że to najodpowiedniejsze dla naszej pozycyi familijnej.

— Dla naszej pozycyi familijnej? A któż waści każe pozycyą familijną przekładać nad potrzeby narodowe. Jeżeliś waćpan poszedł na prawo, to dla tego, abyś zabrał miejsce jakiegoś niemca lub czecha, który naszych potrzeb nie rozumie, aby w biórze rządowem było serce nasze i myśl nasza, aby fascykuły i akta zapylone niezapruszyły brylantu, który w twem sercu nosić powinieneś, brylantu przywiązania i dobrej dla narodu woli. Jeżeliś poszedł na prawo, to dla tego, aby przybył jeden człowiek z wiedzą politycznych i socyalnych stosunków, których nam potrzeba. Nie ty powinieneś robić karyerę, ale naród w tobie mospanku. A waćpanu świeci się w głowie jeździć karetami po poselstwach i pokazywać ojca pieniędzmi, co to jest polski rezon.

— A już też dziadek wywiązał się na nas dzisiaj, aby nam repremendy mówić, zawołał uczony Stanisław.

— A poczekaj! i ty dostaniesz swoje mopanku. — Uczysz się, powiedz mi czego się uczysz?

— On uczony jak rabin, mówił ignorant prowincyonalny, Wiktorek.

— Dziadziowi wiadomo, że poświęcam się studiom naturalnym i fiozofii.

— Słyszałem o ostatnich rezultatach tych naszych studyów. Podobno macie nadzieję dnszę ludzką złapać pod retortę.

— Ach! wszakże mi Staś dowodził, wtrącił Wiktor, że dusza ludzka nie jest nieśmiertelną.

— Aleś ty nie uwierzył?

— Nie, nie uwierzę nigdy, aby sarna, którą zabiję i dam na obiad kucharzowi, i ktoś z moich bliskich, gdyby umarł, tak samo zginęli.

— Otóż masz daleko więcej rozumu od rabina Stasia. Ale on z tego wyrośnie. Jak mu dobrze świat dokrupi, jak mu nieraz zatrzeszczy w głowie i w sercu, żeby się w mysią jamę schował z boleści, to on uwierzy w Pana Boga i nieśmiertelność. W każdym razie źle, że waszeć chodzisz na takie bezdroża. Cóż to ma za spólność z narodem, któremu służysz?

— Właśnie ma spólność. Dać mu oświatę, uwolnić od przesądów, to zbawić go, mówił z zapałem Stanisław. Zbogacić go wiedzą, postawić go wysoko przemysłem, nauką, z równać go z narody Europy, to patryotyzm.

— No! zapał dobry i szlachetny, myśl zła. Odbierasz narodowi to, co jest jego siłą i wyższością, jego wiarę, bogobojność i natchnienie.

— Daję świadomość.

— Niemiecki wymysł! Sumienie poczciwe, to świadomość człowieka.

Kuzyn mój, Tadeusz patrzał na mnie w tej chwili dziwnie serdecznym wzrokiem. Widziałem, że podziela moje zdanie. Rzekłem więc:

— A co chłopcze, zgadzasz się na moje zdanie, kiedyś się nawet odwrócił od tej strony, gdzieś miał oczy wlepione. Uważałem bowiem, że się chłopak jak w tęczę na figlarną patrzył Joasię.

— Zgadzam się, zgadzam zupełnie, kochany opiekunie, rzekł Tadeusz czerwieniąc się.

— Bo to poeta, dziadku! poeta! On nawet wiersze pisuje! Zaśmiał się Stanisław.

— Prawda, jakiś blady nasz pan Tadeusz. A o poetach mówią, że bledzi bywają. No! za moich czasów, poetami bywali ludzie stateczni i rumiani. Ja sam pisywałem wiersze.

— Teraz kochany dziadku, ciągnął Stanisław, poetów jest huk. Jak się kto nie chce uczyć poważnych rzeczy, zaraz zostaje poetą. A jak zostanie, to już gada o wszystkiem jak lunatyk. Nie spi po nocach, drze buty po górach i lasach, łazi między ruiny. Toż dopiero, gdy się kilku takich panów zejdzie. Ja wtedy uciekam co tchu z domu.

— Więc waćpan się nie uczysz, tylko wiersze piszesz? Tadeusz nic nie odpowiedział.

— Staś nas mrozi wszystkich swoją niemiecką mądrością, szydzi z naszych uniesień.

— No! z uniesień nie ma co szydzić. Ale uczyć się trzeba mopanku. Poezya sama nam nie pomoże. Zle to bardzo że jedna połowa z materyalizowała się, a druga uciekła od ziemi. Na ziemi panicze siedzieć trzeba, a oko w niebie być powinno.

Tadeusz znowu spojrzał na mnie serdecznem okiem swojem. Cóż kiedy to widać poeta, człowiek nierzeczywisty, a nam ludzi rzeczywistych i praktycznych potrzeba.

Widzicie więc, czytelniczki moje łaskawe, że examin wnucząt i krewnych nie najlepiej wypadł. Jeden był anglik, drugi niemiec, trzeci kosmopolita pieniężny, czwarty, nibyto najbardziej na Polaka zakrawający, poeta. Nie pokazałem jednak skwaszonej twarzy, ale zaprosiłem młode pokolenie na mój kawalerski a raczej wdowi obiadek. Gdy się wszystko ruszyło, Joasia przyskoczyła do mnie figlarnie i szepnęła mi do ucha:

— Bitwa pod Kliszowem była roku 1702, między Karolem XII i Augustem II, a pokój buczacki zawarty został roku 1672 z Turkami, za panowania Michała. — Odstąpili Polacy Ukrainę i pół Podola.

— A filutko! a czemużeś tego przódy nie powiedziała.

— Bo jakże było wstydzić tamte panienki, rzekła naiwnie dziewczynka.

Uściskałem ją z uniesieniem. Widziałem, że to czysta polska krew bije w tem szesnastoletniem serduszku.

— I jeszcze jedna rzecz, szeptała Joasia po cichu. Niech dziadzio nie wierzy, że się pan Tadeusz nic nie uczy, bo ja wiem, że on dużo umie a to właśnie, co chce dziadunio.

— Patrzcież się, otóż i obrońca gotowy. Zkądże ty wiesz o tem?

— Bo pan Tadeusz był u nas na wakacyach, odrzekła rumieniąc się. O dużo, dużo pięknych i szlachetnych rzeczy powiedział, a ja lubię słuchać gdy mówi.

— Tędy go wiedli—pomyślałem sobie. Jakoś mi się Tadeusz coraz więcej podobał. Mało mówił, skromnie; ale trafnie. Spędzając cały dzień w kole familii, poznałem bliżej, jakie się z moich wnucząt porobiły dziwolągi. Eugeniusz mówił ciągle o pieniądzach i spekulacyach. Stanisław zatrącał studencką, niemiecką uczonością, hrabia Wilhelm plótł o koniach banialuki. Marynia i Zosia szwargotały po francuzku; uczona Walerya nudziła się widocznie.

— Mój Boże! pomyślałem sobie, miałożby być gorzej a nie lepiej?!

Miałożby młode pokolenie nie mieć już tego najdroższego skarbu, złotego serca pradziadów?

Miałożby już tak wcześnie owładać je zepsucie, mamona świata, blichtr pozorów, a wszystko co święte i poczciwe wydać się starem, niepostępowem i niegodnem miłości?

Miałżeby święty zapał być u nich rzeczą czczą, sentymentalnością, exaltacyą?

Mieliżby uważać sobie za punkt honoru, aby być obranemi z szlachetniejszej cząstki duszy? Ha! tegoż miałbym się doczekać na moje stare lata!

Z takiemi smutnemi myślami udawałem się wieczór na spoczynek. Nie upadłem jednak, ale zmówiłem, niewymawiając pacierz, którego mnie matka nauczyła, dodawszy doń serdeczną i strzelistą modlitwę:

„Boże ojców moich i moich dzieci! Ty coś na nas sprowadził tyle nieszczęść i boleści, aby nas naprawić, aby nas powrócić do siebie, Ty Panie zastępów daj błogosławieństwo Twoje młodemu pokoleniu. Ty pozwól, aby posiew krwi bujnie zeszedł w ich sercach, aby byli godni tych prac i cierpień, które dla chwały imienia Twego ojcowie ich znosili!...“

Uspokoiłem się po tej modlitwie. Jakoż po krótkiej chwili, w której mi przed oczyma świeciło skiełko Wilhelma, okulary Stanisława i lorynetka Waleryi, naprzemian z skwaszoną twarzą Eugeniusza i wesołemi ale próżnemi buziami Zosi i Maryni, zdawało mi się, że Joasia i Tadeusz lecą ku mnie w kształcie jasnych Aniołów, porywają mnie gdzieś w górę, ku błogosławionym duchom moich zmarłych — i usnąłem.

A teraz asindźkom opowiem, co za dziwny sen miałem.

(*D. c. n.*)

La femme, dzieło J. Micheleta. Rozbiór.

(*Ciąg dalszy.*)

Nie wspominając o żadnej pozytywnej religii, zastępuje brak jej jakąś czcią poetyczną natury, objawieniami wielkich prawd historyi, podniecaniem entuzyazmu do rzeczy pięknych. I ta cześć dla piękności, to wychowywanie pięknością, jest znowu nowym punktem, którym przewyższa swego poprzednika, samotnego filozofa Genewy.

W obrazach z wielką, szlachetną kreślonych miłością przedstawia Michelet matkę i dziecię, które pod wpływem swej doktryny chce wychować na wierzącą córę przyszłego pokolenia. Pod tem mistycznem słowem rozumie Michelet kobietę, która przywróci światu harmonią i spokój, rozpali ognisko domowe, która będzie chciała kochać męża i dziecię z poświęceniem bez granic, zamknięta w świętości domowego pożycia, wiedząc że w niem błogosławieństwo dla świata wychowuje.

Oto ona, powinna sobie rzec matka nad kolebką córki, ona, co trzyma spokój lub niespokój świata, ona co zburzy serca, albo da im spokój i wielką harmonią Bożą.

Oto ona, która po mej śmierci, na moim grobie, dwunastoletnia podtrzyma ojca drobnemi swemi skrzydełkami i poprowadzi go ku mnie do nieba.

Oto ona, co, szesnastoletnia, jednem słowem szlachetnego i dumnego wymagania pobudzi mężczyznę, aby sobie powiedział: Będę wielkim.

Oto ona, która w dwudziestu latach, w trzydziestu i przez całe życie, każdego wieczora odżywi męża, strudzonego pracą i na suchym piasku spraw i trosk codziennych wyczaruje mu wonną różę.

Oto ona, co w smutnych dniach, gdy się widokrąg zaciemni, gdy wszystko zblaknie, wróci mu Boga i pozwoli mu go znaleść na swojem łonie.

Wielkie zadanie, szczytne pojęcie! Stworzyć z kobiety opiekunkę rodziców, pobudzicielkę wielkich i heroicznych czynów, towarzyszkę obywatela, wieczną krynicę życia i nadziei dla męża: czegoż więcej potrzeba? O potrzeba jeszcze więcej, mówi nam dusza polska: Potrzeba jeszcze aby umiała być samą sobą, aby umiała być córką Bożą! I w tem właśnie jest główny błąd dzieła Micheletowego: Michelet odbiera kobiecie samoistność, Michelet twierdzi że kobieta, nieobjęta familią, nie jest niczem. Wszakże jej pozostaje wielka familia chrześciańska, której może być matką, wielka familia ojczysta, której może być współpracownicą, wielka familia myślących i czujących za ludzkość, z którymi współdziałać może.....

Ależ wróćmy do wychowania Micheletowego. Z anatomii i fizyologii dowiedział się, że dziecię jest bardzo słabem, bardzo nierozwiniętem stworzeniem. To, co je rozwinie jest miłość matki jego, jest miłość matki ogólnej przyrody. Niech je więc matka kocha nadewszystko niech je karmi sama, niech mu daje życie, życiem i krwią własną. Niech nie tamuje przystępu drugiej matce, przyrodzie. Światła, słońca, powietrza mu trzeba. Wielkie to prawdy, które pamiętać należy. Jeżeli można, wychowujcie dzieci na wsi.

Dziecię przychodząc na świat musi walczyć z całym światem, z całym chaosem otaczających przedmiotów. Ułatwić mu tę walkę: niech widzi formy piękne, symetryczne, nadewszystko niech widzi matkę. Matka niechaj mu będzie ideałem wszelkiej doskonałości.

Ale nierozdrażniać mu przed czasem nerwów pieszczotami. Ostrość obchodzenia, szkodzi mu równie jak zbytnia miękkość.

Oto dziecię pięcioletnie. Lalka jest jego pierwszem zajęciem. Miłość do lalki jest podług Micheleta pierwszem przeczuciem miłości macierzyńskiej. Maleńka dziewczynka potrzebuje się kimś opiekować, chodzić około kogoś: bo ona będzie to czynić całe życie. Bądźcie wyrozumiałe dla tego uczucia, podzielajcie starania waszej córki około lalki. Słuchajcie z ciekawością nowin, które wam córka o niej przynosi....

Nie trzeba przedwcześnie mówić dziecku o powinnościach, twierdzi Michelet. Powinność sama wydobędzie się z dziecięcia, bo człowiek ma uczucie dobrego. Trzeba przykładu, nie reguł. Dziecię pojmie łatwo: Powinnam kochać mamę, co mnie tak kocha. Otóż i podstawa obowiązku.

Chłopca należy wychować, aby był stworzycielem, córkę, aby była harmonią. Im więcej w kobiecie będzie poezyi, poczucia, religii (w sensie Micheleta) tj. tego nieopisanego coś, co za nadto jest przestronnem, i rozprężliwem, aby się dało ująć w prozaiczne słowo; tem silniejszym będzie wpływ jej. To jest mówiąc po prostu, po naszemu: im więcej w kobiecie wyrobimy uczucie szlachetne, tem będzie lepszą kobietą.

Sposób wychowania kobiety na harmonią jest piękność. Matka powinna modlić się co wieczór i rano: Boże, uczyń mnie piękną, uczyń mnie ideałem! Niech moja córka, aby także piękną zostać, potrzebuje tylko patrzyć na mnie!

Jest to wielka prawda, którą trzeba tylko zrozumieć. Kobiety dusza jest bezbrzeżną, bezdenną; jeżeli męzka jest ciałem, że tak powiem stałem, to kobieca jest gazem. Trzeba jej nieskończoności, aby ją poruszyć. Zimny morał zostanie bez skutku: trzeba działać zarazem na fantazyą, na uczucie, na wszystko. Co nie zrobi perswazya, to zrobi jeden piękny, ponętny obraz przed duszę stawiony. Niechże tym obrazem ciągłej doskonałości będzie matka.

Niech córka w niej widzi ideał, niech z niej najwyższe czerpie natchnienia.

Dwie rzeczy powinna mieć kobieta: wdzięk i czystość (pureté).

Wdzięk zastąpi wygodnie piękność. Jest on wypływem czystości. Pod tą czystością rozumie autor czystość ciała, pojedyńczość i naturalność fizycznego wychowania, prostotę serca i duszy. Ale drogą do tej czystości, jest mu znowu samaż tylko przyroda.

Wychować córkę w przyrodzie, to główna zasada Micheleta. Otoczcie dziesięcioletnią panienkę kwiatami. Niech je pielęgnuje. Niech czeka z drżącem sercem na każdy kwiat i listek. Niech wie, że te stworzenia czują, potrzebują pożywienia i umierają. Niech się wtajemnicza w sekretną pracownię natury i dochodzi do poczucia, że sama do niej należy. Niech czującem sercem bierze współudział w wielkich jej i świętych pracach.... Tą drogą, za pomocą matki ma dojść nareszcie do pojęcia własnego przeznaczenia. Niech się dowie, że wszystko rodzi się, aby się rozmnożyć i umrzeć znowu. Że w powolnem obumieraniu dla drugich jest przeznaczenie człowieka...

Piękne to wszystko i poetyczne — ale na wietrze pisane i niebezpieczne. Człowiek nie jest rośliną ani zwierzęciem, człowiek nie wychodzi z natury, ale z ludzkości, z chwili..... Cały system jest zatem utopią w guście Roussa. Uczennicę taką wypadałoby trzymać na pustyni.

Dochodzi ona lat czternastu — dojrzewa. Dla budzących się uczuć trzeba godnego pożywiołu. Z objęć natury trzeba ją wyprowadzić w świat, spostrzega Michelet. Trzeba jej pozwolić rozglądnąć się po ziemi. Trzeba aby się uczyła. Ale powinna się uczyć inną metodą i co innego, jak chłopiec. Chłopcu trzeba historyi ruchu, postępu, zmian, słowem historyi ludzi: dziewczynie trzeba wiedzy o tej szlachetnej i pogodnej epopei życia, która się powtarza co wiek, co plemię, zawsze jednako, zawsze wiernie; trzeba jej wiedzy przyrody, wiedzy harmonii wiecznej. Powiem jej zatem o tajemnicach życia i śmierci, potem o jej wielkiej spólnej matce Francyi; skreślę jej, jak wygląda świat w różnorodności swych stref, klimatów, sytuacyj topograficznych. Opiszę jej ludy ziemi i ich właściwości. Wprowadzę ją w cień wieków pierwotnych i obznajmię z temi świętemi pramudami, które świeciły kolebce ludów. Będziemy czytać razem Zendawestę (!) Homera, ustępy z biblii (Rut, Tobiasz), życie Sokratesa, Herodota. Chcę dla niej książek, które były mamkami ludów. O Szekspirach i Dantach niech się dowie daleko poźniej! Biblii radzę używać ostrożnie. Pochmurność jej kolorytu, rozbrat Jehowy z ludźmi, przykro wpłynie na młode serce...

Tą drogą poprowadzę ją do trzeciego stopnia wychowania: do reflexii, do myślenia!.. Była w sferze intuicyi, w sferze uczuciowego chwytania tego, co wielkie, święte, nieśmiertelne. Była na stanowisku wschodnich ludów ... teraz chcę ją zaprowadzić do świątyni Pallady greckiej. Ma poznać wielkie prawa przyrody. Ucz ją matematyki, fizyki, astronomii. Poznaj Boga, który jest rozumem — bo rozum i Bóg to jedno......

Otoż pozwoliliśmy się wyspowiadać Micheletowi naiwnie aż do chwili, gdzie się jawnie przyznał do swego

panteizmu. Bo książka Micheleta jest z dwóch żywiołów złożoną: z nowych, genialnych i intuicyjnych przeczuć i z starych, wytartych opinij. Te opinie wiodą do konsekwencyi racyonalnych, przeczucia istnieją przy nich jako właściwa poezya i wdzięk książki.

Przypomnijmy sobie, że Michelet, nieradzi dziecięciu mówić o obowiązkach. Radzi pozostawić naturze rozwój moralności. Kreśląc prawdziwą sielankę życia dziecinnego, otaczając dziecię kwiatami, woniami i matką, każe mu rość, jakby ono należało do wegetacyi. Zapomina w swojem materyalistycznem myśleniu, że dziecię rodzi się królem przyrody, rodzi się o całe niebo oddalonem od łańcucha stworzeń natury, bo duchem do nieba należy. Widzi Michelet te znaki niebios, widzi tę miłość nieskończoną budzącą się w dziecku, ale ślepy na jej boski początek, przykuwa ją do ziemi, każe jej aby była tylko ziemskim instynktem, instynktem przyrody. Uczyniwszy z dziecięcia zwierzątko jedzące i przywiązane do tych, co go żywią; prowadzi je po stopniach do jakichś prawd filozoficznych niby, które mają zastąpić religią pozytywną, mają zastąpić te święte uczucia religijne, co żywione od dzieciństwa nastrajają serce dzieciny w sferę wyższą, do której należy. Czyta więc panience Zendawestę i Homera, ustępy z Biblii i Herodota, do których trzeba wykształcenia i erudycyi! Chce z elewki zrobić najprzód czcicielkę ognia, potem Bramy, następnie Jowisza: w końcu uczy ją grawitacyi ciał niebieskich. O katechizmie tylko i ewangelii nie masz mowy!

Smutna, tragiczna utopia! On historyk ludzkości, on świadek tylu bolesnych wstrząśnień ludzkości, on który wie, ile w niej było złego — on nie wie, że człowiekowi trzeba praw bożych, praw moralnych, i że tych praw w naturze nie znajdzie! On nie wie, że w dziecięciu małem waży się od młodości złe z dobrem, bo ono jest członkiem walczącego świata. On myśli, że doktrynerskiem dolewaniem, kropla po kropli, jakiejś teoryi falszywej, bo nieopartej na rzeczywistości, wychowa się dziecię boże, człowiek! Smutny obłędzie!!

To też wykluwa się nareszcie szydło z wora, jak to mówią. On wychowawca, który przeczuwał w duszy kobiecej potrzebę miłości, potrzebę nieskończoności, potrzebę piękna, nie umie jej na koniec podać innego żywiołu, nad matematyczny porządek świata, zimny, kościany, filozoficzny rozum, który tąż samą piędzią ma mierzyć figurę geometryczną, co jej uczucia, a na grobie jej matki i męża powiedzieć: To jest bieg każdego żyjącego stworzenia: Rodzi się, żyje, umiera i gnije, aby na grobie wyrosła trawa dla krów grabarza......

Ale Michelet sam czuł niedostateczność swej doktryny. Za rozdziałem: *Pallas ou l'entendement* — spotykamy niespodzianie rozdział: *La charité de l'Andrè de Sarte.*

Wychowanica jego dorosła lat dojrzałych. Burza młodości gra w jej żyłach. Nie dał jej zasad moralności, nie dał jej chrześciańskiej nauki w drogę życia, aby wiedziała: że trzeba być czystą i świętą, bo dusza kiedyś z ciałem razem stanie przed obliczem Boga, bo życie jest walką materyi z duchem a duch powinien zwyciężyć. Drzy więc o nią—drzy: bo naturalistyczne nauki jego smutne mogą przynieść owoce. Niedał jej wstydu, żądać go niemoże. Jakże temu zaradzić?

Oto prowadzi ją w chaos świata. Pokazuje jej najczarniejsze jego strony, jego nędzę i okropność. Pokazuje jej wielką walkę dobrego ze złem, ciemnoty z jasnością, nędzy z bytem. Daje jej poznać wielkie zadanie wieku, aby dobre, jasność, byt, szczęście zwyciężyło. Pokazuje jej bohatyrów narodów i ludzkości i każe szukać bohatyra, kochać go i uszczęśliwić!

Bez wątpienia jest to piękny i szlachetny sposób! Kobieta powinna żądać bohaterstwa od mężczyzny, bohatyrstwa pracy podjętej dla ogółu! Ideał bohatyra powinien jej świecić w wyborze kochanka i męża. Ten ideał ochroni ją od niskich stosunków. Ale czyż Michelet właśnie może żądać takiego usposobienia u kobiety, której kazał rość w naturze, bez samodzielności i przyszłości osobistej, której po ślubie natychmiast każe utonąć znowu w samych funkcyach natury?!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRAKOWIAK.

(przy rzucaniu wianków na Wisłę w wigilią Ś. Jana.)

Żwawo z łodzią żwawo! Krakowiaczku śmiały,
Dziewczęta wianeczki w Wisłę powrzucały.

Uprzedź wody fale, uprzedź w rączym biegu,
Przyklasną ci za to Krakowianki z brzegu;

Przyklasną ci za to prześliczne dziewoje,
Co z wiankiem na fale cisły szczęście swoje.

Serduszka radośnie uderzą w ich łonie,
Że wianka ich marzeń fala nie pochłonie:

Nie pochłonie fala, lecz Krakowiak hoży
Dogoni — pochwyci — i u stóp ich złoży.

J. Knt. Turski.

---

*) W wigilią świętego Jana chrzciciela, wieczorem, schodzą się nad brzegi Wisły dziewczęta i chłopcy. Pierwsze mając przygotowany wianek ze sobą, ciskają go na wodę, wróżąc sobie z długiego lub krótkiego unoszenia się tegóż nad falami — dłuższe lub krótsze oczekiwanie na zamężcie.

Nie opisujemy tu tego obrzędu po szczegółowo, bo z przypomnienia ogółowy tylko można wyrobić obraz, który ma wartość w krainie myśli. Z obecnych tylko wrażeń da się odtworzyć malowidło tchnące życiem, któremu fałszu zarzucić nie można.

Do umieszczonego u góry Krakowiaka, dorobiona melodya przez P. Mikuszewskiego, w krótce wyjdzie z Litografii „Czasu". *P.R.*

OBRAZKI PARYSKIE.

Napotkaliśmy w jednem z illustrowanych pism niemieckich, charakterystyczne obrazki Paryża i jego różnego stanu mieszkańców. — Gdy odmienność ich kolorytu, a zarazem prawda, wielką od *naszego świata* okazała nam różnicę, pozwoliliśmy sobie podać je naszym czytelniczkom w skróceniu, wyjmując to tylko, co na większą zasługuje uwagę. Wielkaż — to np. różnica między usposobieniem Paryżanek a Polek — co w tamtych żądzą lub namiętnością jest, u nas jest cnotą a uczuciem — na co się Paryżanie uskarżają, o tem my nie mamy wyobrażenia. Nie optymistycznie sądząc — uderzywszy się w piersi, przyznać trzeba, że my mamy dużo złego — ależ to przecie nie tak niskie jak tam. Ot proszę posłuchać, a każdy się przekona.

I.

Każdy chcący pisać o Francyi, przedstawić jej zwyczaje i obyczaje — prawie zawsze i to mimowoli nakreśli obraz Paryża.

Paryż można śmiało nazwać magnesem przyciągającym każdego mającego już imie, lub chcącego sobie takowe zdobyć. Młody artysta znajdzie tam prędzej jak gdzieindziej źródła i sposób do wykształcenia się w swojej sztuce; przebiegły i czynny ku-

piec, tysiączne sposoby zrobienia majątku; nareszcie bogatemu próżniakowi nie braknie na zbytkowych rozrywkach, do których mu jego bogactwa wrota otworzą.

Dla tego też Paryż jest miastem całego świata, jest zagadką nie dorozwiązania dla pilnego badacza — najponętniejszym ogrodem — talizmanem, który każe o wszystkiem zapomnieć; a zarazem dziko wzburzonem morzem namiętności i targowicą, której najtańszym artykułem: zepsute obyczaje.

Mały francuz w pieluchach już inne koleje przechodzi, jak drugie jakie dziecko.

Gdy się dziecię urodzi, obwijają je w pieluchy i natychmiast odsyłają je, kilka mil z Paryża do mamki, która nie chcąc słuchać płaczu niemowlęcia, w dzień je wiesza na gwoździu, w nocy zaś kładzie pod poduszkę.

Po upływie półtora lub dwóch lat, przypomina sobie ojciec, że oddał swoje dziecko na mamki.

— Biedne stworzenie — wzdycha matka— weźmiemy je napowrót do siebie. Napiszę dzisiaj do mamki.

I rzeczywiście, za parę dni przynosi tłusta wieśniaczka małego krzykałę, położonego między olbrzymim bukietem i krągiem sera; a malec wydziera się z rąk ojca krzycząc *„nie chcę,“* i odwraca się od matki, chcącej go pocałować.

To jest jego wstęp do życia....

Chcąc być Paryżaninem, ale takim, jakim go sobie ludzie zazwyczaj wystawiają, niekoniecznie trzeba się w Paryżu urodzić, gdy przeciwnie nie wszyscy w Paryżu urodzeni, są Paryżanami.

Prawdziwy Paryżanin mówi mało o Paryżu, kłamie nawet, że go nie cierpi, ale pomimo tego nie mógłby żyć gdzieindziej.

Paryżanin podróżuje, to jest znika z horyzontu paryskiego, jak nurek z powierzchni wody, — ale opuszcza dla tego swoje drogie miasto, aby po krótkiem rozdzieleniu, tem szczerzej je przywitać.

Powieściarz francuski Leon Gozlan tak opisuje Paryżankę: Paryżanka jest podług mniemania swojej matki, łagodnym aniołem, dowcipnym demonem, skarbem w zarządzie domowym, ideałem.

Student uważa ją, za najlepszą tancerkę, za najmilszy przedmiot marzeń i snów swoich. Paryżanka najzręczniej zdejmuje ze siebie: rękawiczki, szal i serce.

Cudzoziemiec widzi w niej zbiór: dowcipu, ducha, wdzięków i przenikliwości; każdego zbałamuci kogo chce; jest aniołem, któregośmy w snach młodości widywali, i którego w szóstym krzyżyku jeszcze pamiętamy.

Małżonek inaczej o niej sądzi:

Żona bez serca; kochająca namiętnie.... ale tylko zaloty, zabawy, wystawę — niewierna bez zazdrości, matka bez czucia.

Po ogłoszeniu prawa o rozwodach, z okolic Paryża najmniejsza ilość korzystała z tego dobrodziejstwa.

Najgłówniejszym rysem charakteru francuskiego, jest niewątpliwie, miłość ojczyzny. Lecz posunięta do ostateczności staje się często przyczyną wielu niepotrzebnych skutków. Francuz chce być tylko żołnierzem.

Francya lubi hałas wojenny, proch i huk bębnów.

O ludzie francuskim nie pochlebne charakterystyki napotykamy w dziełach samychże francuzów.

A. Barbier sławny francuzki pisarz tak go określa: zapomina łagodnego dobrego pana, pamiętając li o takim, który szablą i armatą morduje: I dalej tak mówi:

Lud mi prawdziwie ulicznem śmieciskiem,
Najlichszem winem gardło swe zalewa;
Wielbi takiego, który oka błyskiem
I dziką pięścią do czynu zagrzewa.

Dziką miłością o nim wciąż pamięta,
Jego obelgi słodkiem cząc spomnieniem,
On mu się w serce wpisał: ujarzmieniem;
Cios jego święty—i tortura święta.

Oświecone towarzystwa we Francyi noszą dziwnie pretensyonalną nazwę: *świata* (le monde). I tak mówi się zazwyczaj: Idę dzisiaj do „świata“ (t. j. w towarzystwo). Młody człowiek z domu znakomitego nazywa się *un jeune homme du monde.*

Dwa lub trzy razy — pisze Jerzy Sand— wkradłem się do tego „świata,“ któremu się zdaje, że jest tak pięknym. Widziałem jego światła żarzące, i omdlewałem; ściany, kapiące złotem i szkarłatem odziane, kobiety jak bachantki, ukoronowane i na pół obnażone, artystów, starających się wszelkiemi sposobami zrobić wrażenie na ludziach, którzy sami chcieliby się podobać. Widziałem gościnnych gospodarzy, piękne damy, utalentowanych mężów, śliczną wystawę, wyborną muzykę — lecz nadaremnie szukałem wzniosłej poezyi, prawdziwego natchnienia, uprzejmości, pochodzącej z serca, wymiany myśli i uczuć — nadaremnie śledziłem jakiego serdecznego węzła, spajającego wszystkich i wszystko. Wdzięku, wstydliwości a nadewszystko szczerości nigdzie ani śladu nie było.

Oczy moje widziały, uszy słyszały, ale przestraszone i oburzone serce napowrót się w najskrytszy zakątek piersi wcisnęło.

Jerzy Sand maluje nam ten świat niekorzystnemi wprawdzie, ale niestety aż nadto prawdziwemi kolorami

⊙ *Jarmark w Krakowie.* Nadszedł nareszcie i jarmark. Rynek oczekiwał go najniecierpliwiej; od dwóch tygodni bowiem puste budy i budki, drżące od wiatru i niecierpliwości, oczekiwały tych, którzyby je to w piękne ustroili mantylki, to w kapelusiki, to w tużurki, to w to, to w owo. I nadszedł czas, a stało się, jako sobie życzyły. Jedne z nich, jeszcze przed otrąbieniem zaczęcia się jarmarku, ustrojono dla popisania się przed gośćmi w *kanarkowy* szlafroczek, pomalowawszy biedaczkę wcale nie estetycznego smaku rozczynem. Mówię za długo o budach. Lecz o czemże mówić dłużej? To cecha charakterystyczna naszego jarmarku, to istotny punkt centralizacyjny tego ruchu i życia — jaki poniekąd tegoroczny jarmarczek przedstawia. Więcej niema co mówić. Z za Wisły zjechało się (nawet i nie jeden przyszedł piechotą) kilku kupców, w przedchrześciańskich strojach — rozsiedli się na rynku — i porozwieszali swoje *rarytne* bagaże, nie mogąc swym krzykiem pozbyć się ich na miejscu.

Z dalszych stron przyjechało kilku kupców, między nimi ulubieniec dam naszych, *Maurycy Sachs*, ktoś z Bielska, ktoś z Wiednia — pierników nawożono z Wadowic — gorszych od krakowskich — i oto koniec.

Czy napisać bolesną skargę na to?

Nie. Zdaje mi się, że nie ma się naco skarżyć. Jeżeli na stroje macie Szanowne Panie koniecznie dużo wydawać pieniędzy, to niechże one zostaną w miejscu, w kraju — po co prosić się jeszcze jakiegoś tam pana nieumiejącego po polsku, aby zabierał ze sobą nasze mająteczki — kto wie— jak długo zbierane?

Może i lepiej że jest tak, jak jest.

Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło.

⊙ Tygodnik Illustrowany wydawany przez p. Ungra w Warszawie, umieszczając życiorysy z portretami ludzi w naszym kraju zasłużonych, umieścił już kilku mężów, którzy szczególniej nas Krakowian obchodzą. Był tam już Józef Kremer, Edmund Wasilewski i Karol Antoniewicz; — w ostatnim zaś numerze (53) spotykamy się z szanowną postacią najstarszego naszego poety Franciszka Wężyka, którego staraniu, dźwiganie się (acz nie skore!) domu *Towarzystwa naukowego* zawdzięczamy. Widok tego domu (podług planu) zamieszczony na czwartej stronie tegoż Tygodnika, powinien przemówić gorąco do serc zacnych obywatelek naszych — aby przedstawiwszy im *co mieć mogą*, zachęcił ich do gorliwszych usiłowań, *aby to jak najprędzej miał.* Składki na dom ten, idą jednakże bardzo powoli.

S p r o s t o w a n i e: W numerze 1 naszego pisma zakradły się dwie pomyłki drukowe, które prostujemy: w artykule Marzenia Bonawentury: — zamiast: *une bure bien polonaise: une* **bura** *bien polonaise.*

w artykule: *La femme* zamiast *descendre dans la me: descendre dans la rue.*

Prenumerata w miejscu wynosi:

Rocznie	6	Złr.	—	cent. w. a.
Półrocznie	3	„	—	„ „
Kwartalnie	1	„	50	„ „
Miesięcznie	—	„	50	„ „

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie	7	Zł.	20	cent. w. a.
Półrocznie	3	„	60	„ „
Kwartalnie	1	„	80	„ „
Miesięcznie	—	„	60	„ „

Mody paryzkie na żądanie za dopłatą (w przeciągu całego roku złr. 4 c. 20 w. a. wynoszącą) w miesiąc raz dosyłane będą. — Na same mody prenumerata nie przyjmuje się. „Niewiasta“ wychodzi cotydzień.

Pieniądze prenumeracyjne należy przesyłać **franko „do Redakcyi Niewiasty w Krakowie“.**

Inseraty odpowiednie naszemu dziennikowi przyjmują się za opłatą od wiersza petytowego 7 centów oprócz 30 c. na opłatę stęplową za każdorazowe umieszczenie.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca, **Antoni Rother.**